

HANNA KOWALSKA-PAMIĘTA

Wspomnienia  
kury domowej

WYDAWNICTWO SKRZAT  
KRAKÓW 2009

## 1. PORTFEL

- A te papsiki, to mamjenotą?
- Słucham?
- No, te papsiki, co u ciebie były kołopieza, to mamjenotą?  
O matko.

Stała zamyślona, patrzyła na mnie i oczekiwała odpowiedzi. Przeszliśmy już szczęśliwie obok kilometrowych półek z zabawkami, minęliśmy nawet bez mrugnięcia okiem różowe i błękitne laptopy, ostatni przedmiot jej największych marzeń. Majka, z niezwykłym dla niej opanowaniem, pogładziła tylko w przelocie kolorowy plastik, przy Barbi, Sandrach i innych chudzielcach nawet się nie zatrzymując. Rzuciła okiem na rowery, nie zdradzając najmniejszej nawet ochoty na przejażdżkę wokół ogromnych pojemników ze sprzętem sportowym. Myślała nad czymś intensywnie i wydawało się, że będę mogła spokojnie dobrać do lodówek z serami i innym mleczarskim dobrem. Tymczasem, zamyślona, stanęła w pół kroku i czekała.

- Te, co to kołopieza były, no wiesss...
- O matko. Koło jakiego pierza?!

– Nie pieza! – zdenerwowała się, jak zawsze, gdy pojmo-  
wała, że jej nie rozumiem. – Nie piezza, tylko wiess... no te  
papsiki, co majenotą.

– Jakie papsiki, jakie majenotą, co to znaczy?! Wytłu-  
macz jasno, o co ci chodzi, bo te wyrazy, których użyłaś,  
wcale nie istnieją. Musisz wykorzystać inne, o podobnym  
znaczeniu – palnęłam.

Zachciało mi się śmiać z siebie samej, bo znowu odru-  
chowo zareagowałam, jakbym rozmawiała z dorosłą osobą.  
Spojrzała na mnie z krzywym uśmieszkiem, poruszając tyl-  
ko lekko wargami, bardziej domyśliłam się niż usłyszałam:

– Co mówis, mammo?

Westchnęłam, pociągając ją za ramię. Szłyśmy dalej nerwo-  
wym spacerkiem. To znaczy, ja szłam powoli, a Majka prawie  
za mną biegła, bo mój jeden krok przypadał na jej co najmniej  
dwa. Więc chociaż się spieszyłam, jak zwykle zresztą, musia-  
łam się dostosować do jej możliwości ruchowych.

Rozmowa z pięciolatką. No, prawie pięciolatką.

Większości tego, co mówiła domyślałam się intuicyjnie.  
Co to znaczy, co miała na myśli, co chciała powiedzieć, któ-  
re ze znanych mi (i jej!) wyrazów tak przekręciła, że brzmia-  
ły, jak jakieś nieznanne słowa w obcym języku. Ech, chciałoby  
się czasem zajrzeć do słownika, znaleźć te „mamjenoty” czy  
„papsiki”, a tu nic. Chyba że sama napisałabym taki słow-  
nik. Na własny użytek, ewentualnie na użytek Andrzeja.  
No i chyba Mali. Aha, i jeszcze mamy Doroty. I Agnieszki

może też. Moich rodziców i rodziców Andrzeja. Do licha, może rzeczywiście coś takiego warto by stworzyć?

Moja córka była w stanie przekręcić każdy zasłyszany wyraz. Czy wszystkie dzieci tak mają? Nie wiem, jestem specjalistką od własnych dzieci, mogłabym o nich napisać pracę doktorską, a potem obronić ją przed najsroższą w dziejach wyższego szkolnictwa komisją. Ale już inne maluchy stanowią dla mnie średnio interesującą zagadkę. W każdym razie Maja zaczęła mówić bardzo późno, i kiedy nawet młodsze od niej koleżanki z piaskownicy świergoliły w najlepsze, ona porozumiewała się ze mną prawie wyłącznie na migi. Do drugiego roku życia oprócz nieśmiertelnej „mamy” i „am am”, nie artykułowała nic, co dałoby się wyodrębnić jako zrozumiałe dźwięki. Nawet „tata” sprawiał jej wyraźną trudność – co było przyczyną nieustannej zgryzoty Andrzeja. – „Mamo, mamuś” też jeszcze nie wymawiała zbyt wyraźnie i w jej wykonaniu ten ostatni wyraz brzmiał trochę jak mamusss.

– Co się tak patsys? Na ten stół, tak?

– Tak – otrząsnęłam się. Zatrzymałam się przy sporym podeście, na którym poustawiano różnej wielkości i kształtu stoły. Stałam przez chwilę, tracąc cenne minuty na bezmyślne gapienie się w potężny drewniany czworonóg o owalnym kształcie.

– A ślimaki też mają stoły? – Maja znowu mnie zaskoczyła, jak to miała w zwyczaju.

– Tak. To znaczy, nie!

– Nie mają?

– Nie!

– A dlaczego? I skot to wiesz?

O matko. Dlaczego ślimaki nie mają stołów? No i faktycznie, skąd ja mogę wiedzieć, że nie mają?

– Jedzą na listkach, tak? – wytłumaczyła sobie sama.

– I na tawce?

– Tak, na tawce.

– A my w niedzielę jemy na stołeczkach. To fajne, co?

– Jemy tak, bo na taki stół nie mamy miejsca w mieszkaniu.

– Skoda. Zmieściłaby się solnica. Nie tseba by jej stać na papecie.

– Parapecie – poprawiłam machinalnie. – I „stawiać”, a nie „stać”. Stawiać. Powtórz – obudziła się we mnie troskliwa polonistka.

– Tak, mówie pseciez, papecie.

– Pa-ra-pe-cie. Pa-ra-pet.

– Paaapet. Tak? Dobrze mówie?

– Nie – zasady, o których tak lekko i przyjemnie czyta się w miesięcznikach, w rzeczywistości są ciężkim, mozolnym i zabierającym masę czasu zadaniem. Poprawiać słowa, które dziecko źle wymawia. Nie przechodzić nad nimi do porządku dziennego. Łatwo powiedzieć, a jeszcze łatwiej napisać w formie cennej rady. Okej, poprawiamy, trzy minuty na jedno przekręcone słowo. Ile zajęłyby czasu wszystkie, wymawiane przez Majkę wyrazy?

- Paaapet.
- Pa-ra-pet.
- Pa-la-pet. Palapet! Tam stoją patki! A ja jutro...
- Kwiatki!
- Co: kwatki?
- Stoją „kwiatki”, nie „patki”.
- Nie! – roześmiała się. – Patki! To jest te... no... potki.

Papotki.

- Paprotki?!
- O, papotki! To też są kwatki, pawda?
- Tak, paprotki są kwiatkami. A...
- A wiesz, u Magdy Eek, tej z ciokola, wiesz, takie same potki, to jest pajpotki są na takim długim cymś, do sufitu, i tak na tym wisą, wiesz? I na papecie też są u niej, wiesz? A solniczka stoi na stole, takim wielkim, dużym i oni tam jedzą... Ogromnie duży jest ten stół, wiesz...?

– Wiem. Widziałam.

Zrobiło mi się smutno i znowu pociągnęłam córkę w stronę widniejących gdzieś tam na horyzoncie mleczarskich chłodni.

Ech, moje odwieczne marzenie o rodzinie, zasiadającej razem do jednego, dużego stołu. I taka kuchnia, aby ten stół spokojnie w niej zmieścić, żeby nie zajmował od razu całej powierzchni od szafki kuchennej do ściany. Nasze niedzielne śniadania na złożonych taboretach, przykrytych kolorowymi serwetkami. Z solniczką, pieprzniczką, cukiernicą

i maselniczką na parapecie okiennym, bo ileż u licha można zmieścić na trzech stołkach? Prawdziwy stół, służący częściowo za biurko, częściowo za biblioteczkę, upchany książkami, dokumentami, papierami i czymś tam jeszcze bliżej nieokreślonym, stał sobie godnie w naszym jedynym pokoju i był zwykle zbyt wypełniony, żeby służyć dodatkowo za jadalnię. Więc nie służył. Służyły taborety – nędzna namiastka, którą trzeba było zawsze wynosić do kuchni po skończonym posiłku.

Poczułam zmęczenie. Jak zawsze, kiedy przypominałam sobie o naszym minimieszkanku. Z minikuchenką, której okno wyglądało na pokój, z pokojem podglądającym kuchenkę, pełnym poupychanych po kątach kartonów z książkami, z minikącikiem dla dzieci, gdzie trzy czwarte miejsca zajmowało łóżko dziewczynek, z miniłazienką, w której, żeby dostać się do wanny trzeba było przecisnąć się wąskim gardłem między umywalka a pralką. A na tym wszystkim olbrzymia góra ubrań, zabawek, książek i innych rzeczy, których po prostu nie było już gdzie chować, ustawiać czy układać.

- Mamo, chodź jus, co tak stois. Co jedzą motylki?
- Co?
- Takie motylki. Takie jak ten – wskazała ręką pluszowego potworka o jaskrawych barwach, który dyndając na miękkiej sprężynie, najwyraźniej miał imitować owada.
- Kup mi – zażądała na próbę.

– Ile to kosztuje...? – odruchowo wlepiłam wzrok w cenę, bardziej z ciekawości, na ile takie paskudztwo można wycenić, niż z rzeczywistej chęci kupna. To był oczywiście wielki błąd, z którego zdałam sobie sprawę, niestety o ułamek sekundy za późno.

– Ile, ile? – podskoczyła radośnie. Mama patrzy na cenę, a nie bierze za rękę i ciągnie w bezpieczniejsze rejony, zagadując ze wszystkich sił lub mówiąc stanowczym głosem: „Nie ma mowy” – nie jest źle, warto tracić energię na dalszy szturm.

– Nie... – próbowałam naprawić błąd, prowadząc ją kawałek dalej, ale było już za późno.

– Nie, nie – zaparła się nogami. Wzruszyłam ramionami, byłam zmęczona i ona na pewno też. Nie miałam ochoty na wychowawcze pogadanki. Na szczęście supermarkety to wspaniałe miejsca, jakby stworzone z myślą o zmęczonych matkach ze zmęczonymi dziećmi. Bez słowa wrzuciłam na górkę zakupów skrzydlate paskudztwo, od chłodni mleczarskich do kas droga daleka i kolorowa, bez problemu będzie można pozbyć się potworka z koszyka.

– Teraz po selki i joguty! – podskoczyła. – Dzień dobi!

– Dzień dobry – powtórzyłam odruchowo, oglądając się za siebie. Tłumek młodzieży przy plastikowym koszu z džinsowymi kurtkami, kilka osób przy majtkach i biustonoszach, w alejce z męskimi koszulami prawie pusto. Nikogo znajomego. Kogo ona, u licha, zobaczyła?



- Dobrze, że powiedziałam „dzień dobi”, prawda?
- Prawda, prawda, ale komu ty to powiedziałaś? Przecho-  
dziła jakaś sąsiadka?
- Nie, pani z ciokola!
- Pani Marysia czy Ewa? Nie widziałam ich.
- Nie – zachichotała. Sięgnęła łapką do koszyka, nie wy-  
glądało na to, żeby miała szybko zapomnieć o leżącym na  
wierzchu pstrokatym owadzie. – Pani... zapomniałam.
- Stefa?
- Nie Stefa. Stefa jest fajna! Lubię Stefę!
- Ja też.
- Maysię i Ewę też lubię. A dlaczego pani Ewa ma córeczkę  
taką jak ja, a pani Maysia nie ma?
- Bo może ma synka. No więc, kto to był, komu powie-  
działaś „dzień dobry”? To jedna z pań sprzątaczek? A może  
ktoś z kuchni?
- Nie ma synka! A dlaczego nie ma synka?
- Nie wiem. Majko, kto to był?
- Dlaczego nie ma synka? Nie chce mieć?
- Może chce, ale nie może. A ty dlaczego udajesz, że mnie  
nie słyszysz? Pytam cię, komu się ukloniłaś, a ty nie odpo-  
wiadasz – rozzłościłam się. W gruncie rzeczy niewiele mnie  
już obchodziło imię pani z przedszkola, ale taka całkowita  
ignorancja moich pytań wprawiała mnie zawsze w osłupie-  
nie. Zupełna głuchota na niektóre wypowiedzi własnej mat-  
ki, połączona z ogromnym wyostrzeniem słuchu w stosunku

do innych odgłosów. Pewnie niejeden dorosły dałby wiele za opanowanie podobnej umiejętności. A Majka była tu perfekcjonistką, swoje pytania zadawała tak naturalnie, bez zdenewrowania, z uśmiechem zaciekawienia, jakby rzeczywiście potrafiła sama sobie wyłączyć zmysł słuchu, kiedy tylko przychodziła jej na to ochota.

– Spójrz na mnie – kucnęłam przy niej. Mój wzrok na wysokości jej oczu, o ile łatwiej się wtedy rozmawia. – Nie będziemy gawędzić, dopóki nie odpowiesz mi na pytanie, wiesz o tym?

Milczałyśmy przez chwilę, wreszcie wydebiłam z niej mrukiwe:

– Wies, mamó, ja nie pamiętam, bo ta pani nie jest z ciocola.

– Jak to? Mówiłaś, że jest?

– Jest... nie jest.

– To mama jakiejś koleżanki? – domyśliłam się.

– Pani z kaców.

– Z czego...?

– Z kaców, no. Pani z kaców – spojrzała zniecierpliwiona moją bezmyślnością. – Nie wiesz, co to są kacy... No, wiesz... kacki.

– Tak wiem. Kaczki są żółte i pływają po wodzie. A co to ma wspólnego z panią?

Zachichotała. Śmiała się, jakbym jej strzeliła najlepszy dowcip roku. Majka, tak jak zresztą większość znanych mi dzieci,

śmieje się całym sobą. Nie tylko buzia, oczy, nos, policzki, ale i ręce, brzuch, klatka piersiowa, nawet ugięte nogi. Przykucnęła na gładkiej terakocie, zasłoniła rękami usta, kiwając głową. Spróbowałam jeszcze raz.

– Dlaczego się śmiejesz? To znaczy... ona, ta pani pracuje tam? Wiesz, jest w przedszkolu i coś tam robi?

– Tak – uśmiechnęła się. – Tak, pacuje. Daje cukieki.

– Po czym, uznawszy, że koniec już tych nudnych odpowiedzi, strzeliła precyzyjnym pytaniem:

– Kupis mi motylka?

\* \* \*

– Śliczny. Taki ciowony. I ma fajne kjopki.

– Śliczny. A my ślicznie będziemy musiały iść piechotą. Ewentualnie jechać na gapę.

– Co to znaczy: na papę?

– To znaczy, że wydałyśmy wszystkie pieniądze, co do złotych. Za twojego motylka mogłybyśmy kupić bilet autobusowy.

Zajrzałam jeszcze raz do portmonetki. Nędzne resztki w postaci kilku groszy; droga powrotna piechotą przez ciemną ulicę, z marudzącą, zmęczoną czterolatką. Wrrrr...

Wszystko miałam zaplanowane i na pewno by mi starczyło. Cztery jogurty, jedno mleko w folii, pół kilo białego

sera, masło, śmietana, keczup. I dziesięć bułek. I jeszcze czterdzieści deka sera żółtego, jednego z tych droższych, bez konserwantów. Jedyne większy wydatek, na jaki sobie zwykle pozwalam. No, i do tego jeszcze pół kilo wędliny różnej. Dla takiego żarłoka jak ja, to i tak mało. Na więcej nie mogłam sobie pozwolić, wypłata Andrzeja dopiero za tydzień, przez ten czas trzeba jakoś przeżyć. Motylka oczywiście nie miałam w planach, najwyżej jakieś soczki w kartonikach. Kolorowy owad wszystko popsuł. Kosztował tyle, co półtora biletu, no i ugrzęźliśmy pół kilometra od domu.

– Do licha!

– Do licha! – powtórzyła Maja, podskakując niemrawo. Była już zmęczona i wiedziałam, że nie ujdziemy kilku metrów, gdy stanie na środku chodnika jak zabawka bez baterii.

– Do licha. Mamusiu, co to znaczy?

– Nic.

– Ale co to znaczy?

– Nie wiem, daj mi spokój – o matko, czy każde dziecko jest takie niemożliwie dokładne?! Ja też byłam zmęczona i wcale nie miałam ochoty myśleć, zastanawiać się i odpowiadać na trudne pytania. Co to znaczy: do licha? Nie wiem i nie chce mi się o tym myśleć.

– No, co to znaczy, mamo?... O jakie fajne, zobać! Mamo, może to być moje, dobrze?...

Portfel był sporych rozmiarów, czarny, z przetartymi krawędziami, chyba dosyć stary. Nie aż tak sfatygowany jak mój,

który wyglądał, jakbym go odziedziczyła po prababci, ale na pewno nie pierwszej już młodości. Chociaż ja mój akurat lubiłam i nie zamieniłabym go na żaden inny. Z takim dużym, skórzanym i czarnym okropnie bym się czuła. I taki poukładany w środku, bez żadnych pomiętych karteluszek, świstków... W moim kręci się zawsze masa papierków, o których ciągle myślę, że się przydadzą, więc lepiej nie wyrzucać. Wydruki z bankomatu, rachunki, paragony ze sklepu, dowody wpłaty. A tutaj nic. Czysto i elegancko. Tylko karty rabatowe. Miejsce na zdjęcie też puste. To oczywiście o niczym nie świadczy, ja na przykład też nie mam przy sobie żadnej fotografii – ani dziewczynek, ani Andrzeja. Po co mam szukać, wkładać zdjęcia dzieci, skoro te dzieci i tak są ze mną na co dzień? No, więc ja nie noszę przy sobie żadnych tego rodzaju pamiątek, właściciel portfela widocznie też nie. W miejscu przeznaczonym na zdjęcia ja trzymam zwykle dowód, tutaj karta stałego klienta jakiegoś studia fotograficznego. Uprawnia do piętnastoprocentowego rabatu. Sporo tych kart rabatowych, jakaś księgarnia, jeszcze jeden zakład fotograficzny...

Jest nazwisko, ale śmieszne. Łygas. Piotr Łygas. W jednej przegródce kilka monet bilonu, to wszystko. W przegródkach na grubsze pieniądze pusto.

- Może być mój?
- Nie, myszko. Ani twój, ani mój. Trzeba go oddać.
- Komu, mamó?
- No właśnie.

Właśnie. Komu? Stałam niezdecydowana.

Dwóch ochroniarzy opartych niemrawo o barierki, zaraz obok sporej lady punktu obsługi klienta. Oddać? Ochroniarzom? Dziewczynie zza lady? Oddać portfel nie właścicielowi, tylko jakiemś zupełnie obcemu facetowi?

– Ma pani problem?

Podszedł do mnie jeden z nich, starszy, łysiejący, z resztką siwych kosmyków wokół głowy. Ale nie, chyba to ta resztką włosów go tak postarza. W sumie na pewno młodszy od mojego ojca.

Nie lubię ochroniarzy.

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie.

– To pani portfel?

– Znalazłam przed chwilą. Poszukam właściciela.

– Ja mogę to zrobić. Pani odda.

– Słucham?

– Pani odda portfel. Tu do nas często się zgłaszają po zguby.

– ...

– To ja znalazłam! – Majka, stojąca dotychczas niemrawo, ożywiła się. – Dałam to mamie!

– Bardzo ładnie. No, pani odda.

Nie wiem, co mi odbiło. Zupełnie nie mam pojęcia, co mi się stało. W sumie taką specjalną zadziorą nie jestem. Są ludzie, którzy lubią się stawiać „z natury”, ja może czasami pojadę na nerwach i coś tam komuś odpowiem, ale w sumie przy obcych raczej wolę się wycofać. Nie żebym od razu pozwałała

wszystkim chętnym włożyć sobie na głowę, ale też niespecjalnie mnie bawi szukanie awantur. Dlatego nie wiem, jak to się stało, że tym razem poszłam w zaparte.

Po prostu mi się nie podobało. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, co tak naprawdę mi się nie podobało. Chyba ten stanowczy głos, ten nacisk w słowach „pani odda”. Ręka wyciągnięta, jeszcze chwila, a zacznie mi szperać po kieszeniach. Bezczelny typ. Nieprzyjemny i beczelny.

– Nie – zdecydowałam. – Przepraszam – wrzuciłam znalezisko do plecaka, pociągnęłam Majkę za rękę i chciałam wyminąć natręta. Stanął przede mną i nie wyglądało na to, że zamierza dać za wygraną.

Dlaczego mu tak na tym zależy? W końcu, jeśli nikt się nie zgłosi, to będzie dla niego kłopot. Jeśli oczywiście ma zamiar uczciwie zwrócić znalezisko właścicielowi. A nie na przykład zabrać dla siebie albo wrzucić do kanału.

– Niech pani odda to, co nie jest pani.

– Pana też nie jest.

– Zaraz zadzwonię na policję. Chce pani tego?

– Proszę bardzo. Możemy razem zadzwonić. Powiem, że ma pan ochotę na cudzy portfel. Chce pan kłopotów?

– Ja chcę do domu!!!

Podskoczyliśmy obydwój. Wiedziałam, że Majka jest zmęczona, ale takiego wrzasku i ja się nie spodziewałam. Pociągnęłam ją za rękę, ochroniarz stał za mną i obserwował. Czułam, że się na mnie gapi, chociaż sama obejrzałam

się tylko raz. Stał, cały czas jakby się namyślając, jakby nie był pewien, czy nie wezwać jednak policji, którą się nawzajem postraszyliśmy.

Dlaczego właściwie tak się uparłam? Mogłam mu oddać znaleźisko i iść dalej, co mnie to w końcu obchodziło. Jakiś tam Piotr Łygas, dostałby z powrotem swoje karty rabatowe albo i nie, pewno już zresztą wyrobił sobie nowe. Po co się szarpałam z tym łysym chamem? No, może dlatego, że naprawdę głupio tak od razu ustępować chamowi.

– Idziemy na przystanek – zdecydowałam.

\* \* \*

– Tato, psejechałyśmy na papę, fajnie, co?

– Co tak długo?

Zdusiłam w sobie warknięcie. Mój małżonek, sam znany ze swojego kompletnego braku poczucia czasu, ma do mnie pretensje, że wróciłam za późno.

– Nie mam pretensji, tylko się pytam. Trochę długo wam to zajęło. Mówiłaś, że wyskakujesz na moment.

– Człowieku, opanuj się! Czy można wyskoczyć na moment z marudzącą czterolatką?!

– Znowu się wydzierasz. Powiedziałaś, że szybko wrócisz, a jest już późno. Dlatego się pytam, co się stało... Zostały ci jakieś grosiki?



# SPIS TREŚCI

1. PORTFEL .....	7
2. KOLEŻANKA .....	26
3. CZEKANIE .....	46
4. RYSUNEK .....	64
5. NIEPRZYJACIEL .....	85
6. KURA .....	104
7. ZAGINIĘCIE .....	129
8. AGNIESZKA .....	153
9. PRZEDSZKOLE .....	170
10. SPOTKANIA .....	190
11. NAGŁA WIADOMOŚĆ .....	207
12. KRZYK .....	223
13. WYJAŚNIENIA .....	237
14. WYJAŚNIEŃ CIĄG DALSZY .....	252